

Pamiętnik Słima Morano – 2

1 lipca 2020

W niewoli Atai. Wstęp

Drodzy Czytelnicy, oto wzięliście w swoje ręce Pamiętnik Słima Morano – mój pamiętnik – lub przynajmniej jakiś jego fragment. Nie chciałbym wprowadzić już na wstępie kogokolwiek z Was niepokoić albo... może nawet straszyć, ale... ten pamiętnik ma pewną, nazwijmy to, nie z punktu widzenia wszystkich pożądaną właściwość. On... jest zakaźny. I zaraża bardzo ciężką, może nawet nieuleczalną chorobą. On zaraża... bakcylem prawdy.

Sami wiecie, Drodzy Czytelnicy, że jeżeli zostaliście kiedyś ochrzczeni, staliście się już na zawsze chrześcijanami.

Tak samo jest z tym pamiętnikiem. Kiedy go przeczytacie, zaczniecie poszukiwać prawdy. I to będzie Was pochłaniało, nie będzie można już od tego uciec.

Naturalnie może się Wam to bardzo nie spodobać. I może postanowicie nawet poszukać porady u swojego adwokata... Ale proszę z góry, nie podejmujcie żadnych kroków przeciwko mnie, bo... Bo może to być dla Was przykre. Lub nawet więcej niż przykre. Więc radziłbym Wam, jeżeli macie coś przeciwko prawdzie, po prostu odłożyć ten pamiętnik na półkę lub lepiej może nawet – pozbyć się go w bardziej jeszcze nieodwracalny sposób... To najlepsze, co możecie zrobić dla Waszego dobra i dobra Waszych najbliższych.

Jeżeli obawiacie się więc odkrycia dla siebie pewnych prawd, które mogłyby zmienić sposób, w jaki postrzegacie otaczający Was świat, żegnam się z Wami w tym momencie, życząc Wam wszelkiej pomyślności i przede wszystkim – no jakżeby inaczej – zdrowia, zdrowia i jeszcze raz zdrowia!

A teraz parę słów do tych, którzy nie będą wieszać na mnie

psów i mieli już wcześniej takie dziwne przeczucie, że coś jest nie tak.

Coś jest nie tak, to prawda. Ale co?

Odpowiedzią na to pytanie zajmowałem się już w czasie moich wielu dotychczasowych cielesnych i niecielesnych żywotów. Mimo to do dzisiaj nie mam stuprocentowej pewności, że odpowiedź ta może mieć całkowicie jednoznaczny charakter. Z mojego doświadczenia bowiem wynika, że rzeczywistość, w której się żyje, to jest taki pojazd, który porusza się w czasie – raz wolniej, raz szybciej. W każdej chwili można spróbować z niego wysiąść i zmienić trasę. Można też zrobić sobie pauzę i przespać się w jakimś motelu. Albo w rowie. Albo posiedzieć przed jakąś ruchomą gablotą przy żywcu. Albo przed jakąś inną gablotą przy jakimś innym piwie. I zmarnować swoje własne życie. Zmarnować dany nam na życie czas. Zmarnować do końca. Bezpowrotnie i nieodwołalnie. To bardzo proste, możecie mi wierzyć. Znam to doskonale z własnej praktyki. Ale od pewnego czasu się na to wypiąłem, co w zasadzie oznacza, że wypiąłem się również na Was, Drodzy Czytelnicy.

Zresztą nie po raz pierwszy. W tym mam, zdaję się, nawet sporą wprawę. Podobnie jak w przesiadaniu. Ale żeby się przesiąść, trzeba mieć bilet. Nowa trasa – nowa kasa. Ponownie rzuciłem więc jakiś czas temu wszystko w kąt i poleciałem po bilet. Miałem szczęście – bilet udało mi się jeszcze dostać. W ostatniej chwili. I za ostatnie grosze. Ale co ja się nie nalatałem!... Zresztą przekonajcie się sami – cały ten pamiętnik to jest właściwie taka relacja o tym, jak mi się udało dostać mój bilet. Rozejrzyjcie się dookoła, może jeszcze nie jest za późno. Może trafi się Wam jeszcze jakaś okazja.

Nie życzę Wam zatem, Drodzy Czytelnicy, przyjemnej lektury, życzę Wam natomiast, żeby Wam się udała przesiadka i żebyście dostali jeszcze bilet. Musicie niemniej wiedzieć, że aby w ogóle dostrzec tę okazję – nadarzającą się możliwość przesiadki – potrzebna jest umiejętność wyglądania przez okna.

I musicie też wiedzieć, że jeśli w ogóle ośmielicie się wyjrzeć na zewnątrz, dostrzeżecie także być może ramy Waszych okien. Nie chciałbym Wam zbyt natrętnie sugerować, że te ramy sygnalizują bardzo wyraźnie Wasze własne ograniczenia...

Postscriptum

Im usilniej usiłowałem się ukryć w którejś z tych fałd wiecznej światłości, które wydają się być jakby metafizycznymi kolebkami kolejnych ziemskich cywilizacji, tym intensywniej promieniowałem na zewnątrz. Odczuwałem to jako coś w rodzaju niezasłużonej kary za moją – wymuszoną zresztą przez poczucie egzystowania w niewłaściwym wymiarze – skromność; a może nawet i pokorę. To moje promieniowanie, ta buchająca ze mnie niewidocznie emanacja, z rzędu tych niewyobrażalnych dla szarych komórek wielkości, rosnąc we mnie z dnia na dzień, traktowała mnie jak naczynie albo raczej jak dno naczynia, i zapuściwszy we mnie korzenie, wydawała jakieś swoje owoce w nieznanym mi światach. I tylko intuicyjnie mogłem przeczuwać, jak owoce te smakują. Rekompensowało mi to jednak, owo tkwiące we mnie przeczucie, straty ponoszone na rzecz cierpienia. Cierpienia za siebie i za innych, za tych, którzy o niczym nie mieli pojęcia i którym się zdawało – jakby byli jakimiś brzuchatymi i podstarzałymi wyjadaczami telewizyjnej spikerki – że rzeczywistość kończy się i zaczyna dokładnie tam, gdzie kończy się i zaczyna ich horyzont. Już na samą myśl o tym przechodziły mnie ciarki. Ale cóż było robić, nie miałem im jak pomóc. Przecież także robaki nie znają innych dróg, jak wygryzane uparcie własnymi gęboszczkami korytarze... Tliła się we mnie jedynie jeszcze nadzieja, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu, jakąś trzymaną bezwiednie w ręku metafizyczną lampą rozświetlę im w czasie wykonywania tego salto mortale na ich spłaszczoną taflę rzeczywistości jakiś zaułek, którego jeszcze nie pożarły ich małpie rozумы, jakiś zakątek, z którego dobędzie się nieznanym im światło, jakiś niewzględzony aspekt z pogranicza kryminologii, jakąś zakrystię najważniejszej w ich życiu religii. Uwierzcie mi

jednak, to nie ja mówię do Was te słowa, nie ja – ich fizyczny autor, który je i pije tak samo jak wy (no może trochę mniej, zwłaszcza trochę mniej pije) – ale Slim Morano, mój kosmiczno-duchowy brat, podróżnik na falach czegoś, co byście uznali za latający dywan, gdybyście to zobaczyli; ale nie potraficie tego zobaczyć. Tak jak nie potraficie wyjrzeć poza linię otaczającego was horyzontu, i to nawet wtedy, gdy macie do dyspozycji najnowocześniejsze lornetki i teleskopy. Także bowiem wtedy głównym waszym zajęciem jest rozumowa spekulacja, która tyle ma wam do powiedzenia o otaczającym was świecie, ile mówi wam kura, wyrzucająca z siebie swoje uniwersalnie bezmyślne i beznamiętne, i zupełnie pozbawione czegoś takiego jak świadomość koegzystencji innych światów – „ko, ko, ko”.

To tyle. Na początek.

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net